

krwią zamordować, chociaż wcześniej darował mi życie. Nie, już nie. Żadnych narkotyków, żadnych kochanek. Teraz liczy się tylko Polska. Przy barze zamawiam jeszcze jeden koniak, wypijam jednym haustem, za nic mając obyczaj. Chcę płacić, kelner nie pozwala. – Ale jak to, panie starszy – dziwię się. Kelner uśmiecha się z życzliwością i pewną konfidencją. – Panowie piją tu za darmo – mówi, jakby wszystko wiedział i rozumiał. Tym, co szczególnie mnie w tej powieści zajęło, jest niezwykła pieczołowitość, z jaką odtwarza Twardoch realia warszawskiego życia pierwszych tygodni po zajęciu miasta przez Niemców. To jeszcze nie jest „twarda” okupacja, z jaką miasto i kraj miały do czynienia w późniejszym okresie. Dopiero zapowiada się utworzenie Generalnej Guberni i wzywa ludność żydowską do rejestracji – machina nazistowska jeszcze nie nabrała rozpędu, wszystko jest jeszcze nieokreślone, ludzie wchodzą w nowe, często zaskakujące dla nich samych role, ponawiają – a w każdym razie czyni to główny bohater *Morfiny* – pytania o własną tożsamość. „Kim jeste?” – ta kwestia powraca w utworze nieustannie, stanowi jej narracyjny refren. Powieść Twardocha w sposób niesłychanie sugestywny pokazuje napięcie, jakie w szczególnych sytuacjach egzystencjalnych – takich, jak choćby gwałtowny zwrot historii – wytwarza trudność zharmonizowania życia osobistego z powinnościami wobec wspólnoty, w jakiej się żyje. W przypadku tego akurat bohatera dodatkowym czynnikiem komplikującym dokonywane wybory jest jego status etniczny: może swobodnie zdecydować o tym, czy jest Polakiem, czy Niemcem, co oczywiście było w owym czasie przywilejem niewielkiej stosunkowo grupy ludności Polski – wybór pierwszej opcji oznacza opowiedzenie się po stronie przegranych, niemniej Konstanty Willemann z uporem powtarza, że jest Polakiem. Jednocześnie jego „niemieckość” staje się atutem w pracy wywiadowczej, otoczonej tajemnicą, a zatem, wobec niemożności wyjaśnienia nieporozumień, stanowiącej pułapkę. Ta swoiście „płynna tożsamość” ma zatem tyle samo zalet, ile wad, co autor

powieści znakomicie potrafi spożytkować i co znajduje dość dramatyczny wyraz w zakończeniu utworu, którego to zakończenia w recenzji nie wypada zdradzać, podobnie jak nie wolno tego czynić, omawiając kryminał.

„Studnia” Grzegorza Filipa – powieść o tym wycinku polskich losów w ostatnich dziesięcioleciach, który raczej umyka uwadze, gdyż zdaje się być zbyt „codzienny”. Nie chodzi mi tu o fabułę, lecz przede wszystkim o szacunek dla detalu, o dość staranny opis realiów, w jakich zanurzone jest życie byłego pracownika uniwersytetu, którego, po dłuższym pobycie za granicą odwiedza, wraz z dwoma swymi małymi synami, a więc wnukami bohatera, córka, z którą kontakty na odległość – w końcu do czegoś ta elektronika się przydaje także w życiu rodzinnym – dawały co prawda wyobrażenie o jej biznesowej egzystencji w Londynie, lecz z którą kontakt emocjonalny określić by można, delikatnie rzecz ujmując, jako, przynajmniej z jej strony, pełen dystansu.

Grażynę polska rzeczywistość drażni: „Męczy mnie ten kraj, zacofany i smutny. Mam go potąd”, komunikuje ojcu. Janusz zaś, urodzony w 1953 roku, niemal ćwierćwiecze od niej starszy, notuje w dzienniku: „Człowiek lojalny w stosunku do swojego «gniazda» przestaje myśleć na własny rachunek. Myśli interesem gniazda. (...) Prowincja ma tę słabość, że wzmaga intensywność tych zjawisk. Gniazda gnuśnieją, brak mechanizmów ich oczyszczania. Guano przelewa się górą. Prowincja ma kompleks centrum. Lekceważy swoją oryginalność zapatrzona w centralny schemat. Za wszelką cenę upodabnia się, zamiast różnicować. (...) Prowincja to struktura. (...) Albo się w nią wpisujesz, albo trudno ci przeżyć”. I znów Grażyna, przemierzająca ulice rodzinnego Lublina: „Te liszajowate domki, jednopiętrowe pudełka kamienic. Jakie to wszystko ciasne, niewydarzone! (...) Czują się oszukana znikomością świata, z którego pochodzi”. W tych wypowiedziach skonstrastował autor dwie postawy: uwięzionego w swej lokalności, unikającego podróży, osiadłego Janusza i jego otwartą na świat, nomadycznie

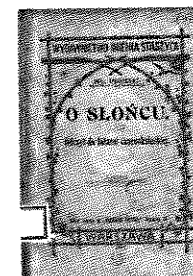
usposobioną córkę, która zapewne, gdyby czytała wiersze, odnalazłaby się w klimacie wiersza Biedrzyckiego określającego Polskę jako krainę o nazwie Akslop. Z jednej więc strony pojawia się tu perspektywa lokalności jako prowincjonalnej zapaści, z drugiej jako niewykorzystanej szansy na zbudowanie twórczej, kreatywnej tożsamości – w obu wypadkach Polska i jej lubelska odmiana znajdują się poniżej poziomu ambicji bohaterów czujących się, każde na swój sposób, ludźmi wyobcowanymi we własnej okolicy. To chyba najważniejszy problem pojawiający się w utworze Filipa, co nie znaczy, że jest to problem jedyny. Jest to bowiem także studium różnych rodzajów samotności i potrzeby jej przezwyciężenia. Grażyna, po rozstaniu z poślubionym w Londynie mężem i samotnie wychowująca dwóch synów, próbuje zneutralizować pustkę emocjonalną w mniej lub bardziej przelotnych związkach, jak choćby w romansie, jakim jest jej raczej nieudana przygoda z mężem koleżanki. Z kolei Janusz, po śmierci

żony odbudowujący latami swą zdolność normalnego funkcjonowania i mozolnie budujący relację z nową partnerką, próbuje jednocześnie nawiązać emocjonalny kontakt z córką. Rolę pośredniczącą odgrywają tu dzieci nawiązujące przyjazne stosunki zarówno z nową partnerką dziadka, jak i z pozostającym w Londynie angielskim przyjacielem mamy. I może trochę szkoda, że nie skupił się autor na tym, skądinąd nie dość w literaturze żywym wątku. Rola dzieci jako katalizatora społecznych relacji wydaje się dotąd tematem całkowicie marginalnym. Tytułowa studnia – zabytkowa, położona w mazurskim pejzażu towarzyszącym Grażynie jako znana z dzieciństwa okolica wakacyjna przypomniana w czasie romansowego wypadu z nowym kochankiem – pełni rolę wielofunkcyjną: przywołuje refleksje o bólu istnienia, ale też obrazuje słynne powiedzenie Pascala mówiące o tym, że spoglądając w najgłębszą nawet studnię, ostatecznie dostrzeże się zawsze odbicie własnej twarzy.

Paweł Orzeł

## Przed wojną: Słońce – dużo Słońca

Władysław Umiński, *O Słońcu. Odczyt do latarni czarnoksiężkiej*, Warszawa 1907



„Cóż przyjdzie człowiekowi z całego trudu, jaki zadaje sobie pod słońcem? Pokolenie przychodzi i pokolenie odchodzi, a ziemia trwa po wszystkie czasy. Słońce wschodzi i zachodzi, i na miejsce swoje spieszy z powrotem, i znów tam wschodzi. Ku południowi ciągnąc i ku północy wracając, kolistą drogą wieje wiatr i znów wraca na drogę swojego krążenia” [Koh 1, 3-6]. Władysław Umiński (1856-1954), autor książek dla młodych czytelników, publicysta i popularyzator nauk, w 1907 roku wydał niewielką i specyficzną książeczką (zaledwie 30 stron) *O Słońcu. Odczyt do latarni czarnoksiężkiej*. Jak sam tytuł wskazuje jest to rodzaj prezentacji lub wykładu, któremu towarzyszyć

powinny obrazy rzutowane przez latarnię czarnoksiężką, czyli po prostu – *laterna magica*. Na ostatniej stronie książki znajduje się informacja o dwudziestu „obrazach”, przeźroczeniach szklanych oraz w którym momencie odczytu (tj. na której stronie lektury) powinny być wyświetlane. Do tego drobna adnotacja: „Komplet gotowy nabywać można u autora odczytu ul. Hoża № 52 w Warszawie, albo w „Uranii” Bracka 18, po cenie: kop. 50 za sztukę (rb. 10 za komplet). Koła Macierzy, uniwersytety ludowe i instytucje oświatowe otrzymują ustępstwo 20%”. Sama książka zawiera również ilustracje poglądowe, które jednak nie do końca pokrywają się z listą przeźroczy.

